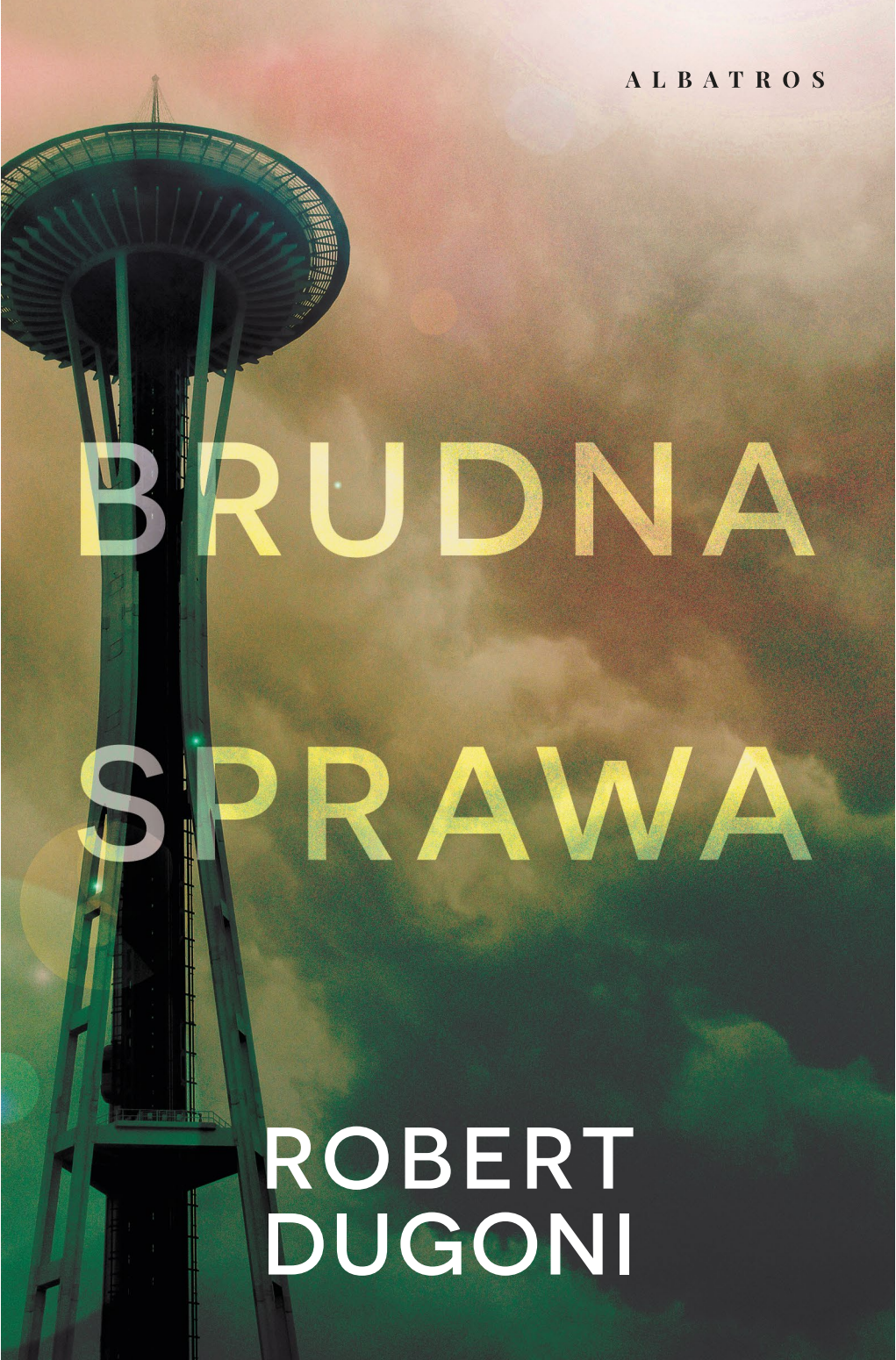




ALBATROS

BRUDNA SPRAWA

ROBERT
DUGONI

Tytuł oryginału:
CLOSE TO HOME

Copyright © Robert Dugoni 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2020

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcia na okładce: © Angie McCullagh/Arcangel Images (*wieża*), pixabay (*chmury*)

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

D'Andre Miller pchnął szklane drzwi ośrodka rekreacyjnego w Rainier Beach i wyszedł na nocny ziąb. Temperatura na dworze gwałtownie spadła i drastycznie kontrastowała z duszną, przesyconą potem atmosferą w hali koszykówki. Zbiegając w gumowych klapkach po betonowych schodkach, czuł szczypanie w gardle, ręce – mimo że miał na sobie bluzę z kapturem – pokryły się gęsią skórą. Związana sznurowadłem para butów do koszykówki dyndała mu na prawym ramieniu, skórzana piłka tkwiła wciśnięta pod pachę. Jego bezcenne akcesoria do ukochanej gry nie miały prawa stykać się z niczym poza parkietem boiska.

– Hej, Młody!

D'Andre odwrócił głowę ku otwartym drzwiom hali, nie przestając sunąć po wylanym betonem dziedzińcu. Nie miał czasu do stracenia. Na progu ośrodka stał Terry O'Neil.

– Spisałeś się dziś, Młody, naprawdę super! – krzyknął.

Słyszając pochwałę, D'Andre uśmiechnął się i raz jeszcze odtworzył w myślach swój drybling zakończony rzutem za trzy punkty z wyskoku, co dało zwycięstwo jego drużynie.

– Grałeś dziś jak z nut – dodał Terry, który trzy razy w tygodniu nadzorował mecze koszykówki.

– Dzięki, Terry – rzucił D'Andre. Rzeczywiście grało mu się świetnie. Trzypunktowce i dobitki jak Stephen Curry, ciągi na kosz jak Kevin Durant. Wszystko mu wychodziło, a grał z chłopakami co najmniej o trzy lata starszymi. W wieku dwunastu lat był najmłodszym zawodnikiem, którego starsi koledzy dopuszczali do gry, choć akurat dziś po prostu brakowało im graczy. Ale po tym występie nie będą nawet pamiętać o jego wieku. Wystarczy, że będzie im zależało na wygranej.

– Jutro też będziesz?! – zawołał Terry. Stał na najwyższym stopniu schodków, para dobywająca się z jego ust wyglądała w żółtym świetle lampy tak, jakby palił papierosa.

– Jutro nie mogę! – odkrzyknął D'Andre, nie przestając się cofać. – W czwartek mam sprawdzian z matmy i muszę się uczyć.

– Dobra. To uporaj się najpierw ze szkołą, ale zaraz potem wracaj. Przychodź, Młody, jak tylko będziesz mógł. Dziś pokazałeś, co potrafisz.

D'Andre słuchał tego z przyjemnością. Najlepiej grało mu się na środku i zamierzał być najlepszym środkowym ze wszystkich. Od dziewiątego roku życia kręcił się koło hali i podpatrywał zagrywki chłopaków – podania, zwody, przytrzymania piłki – wszystko, w czym byli dobrzy. I dziś im pokazał... Może nawet trochę przesadził, bo teraz będzie musiał stanąć na głowie, żeby zdążyć wrócić przed domową godziną policyjną. Powinien był odpuścić ostatnią grę, ale jak mógł to zrobić? Wreszcie dostał od losu szansę i nie mógł przecież powiedzieć, że jeśli się spóźni do domu, to mama spuści mu lanie.

A wiedział, że to zrobi.

Kazała mu być o dziewiątej. Powiedziała też, że mu dobrze radzi, żeby miał już odrobione lekcje. Nie odrobi lekcji –

żadnej koszykówki. Trója w dzienniczku – żadnej koszykówki. Zanedba swoje domowe obowiązki, będzie się odszczekiwał, spóźni się z powrotem do domu – żadnej koszykówki. I nie żartowała. Wyraźnie mu to powiedziała: „Ja z tobą nie pogrywam i ty też sobie nie pograsz”. Mama nie miała głowy do żartów. Trudno być w nastroju do żartów, kiedy się samotnie wychowuje trzech synów. I dlatego D’Andre jej słuchał.

I tyle.

Był jej najstarszym dzieckiem i rozumiał, że ma ciężkie życie. Pracowała całymi dniami, do domu wracała dopiero po szóstej. Babcia szykowała kolację, mama sprawdzała mu zadania domowe. D’Andre widział, jak bardzo jest zmęczona, gdy w końcu kładła się do łóżka.

– Nie chcę dla ciebie takiego życia – powiedziała któregoś wieczoru, kiedy siedzieli przy kuchennym stole nad jego zadaniem z matematyki. – Chcę, żebyś się dobrze uczył, skończył studia i został lekarzem albo prawnikiem.

Szkoła była najważniejsza. Raz już dostał szlaban za spóźnienie się do domu i wiedział, że mama nie zawaha się tego powtórzyć.

– Nie chowam głupka. Na to, by być zawodowym koszykarzem, masz szansę jedną na milion, ale jeśli solidnie przyłożysz się do nauki w szkole i na studiach, wszystko stanie przed tobą otworem.

Nie należał do szkolnych osłów, którzy przynoszą do domu tróje i dwóje. Był piątkowym uczniem ze wszystkiego z wyjątkiem matematyki. Musi więc błysnąć na czwartkowym sprawdzianie. Nie dlatego, że zyska na tym coś konkretnego. Mama nigdy nic mu nie obiecywała za dobre stopnie.

– Dlaczego miałabym cię nagradzać za coś, co jest twoim obowiązkiem? – mawiała.

D’Andre poprawił piłkę pod pachą i zerknął na wyświetlacz

komórki. Do dziewiątej zostało dziesięć minut. Jeśli się spręży, to może zdążyć. Nasunął na uszy słuchawki z rapującym Lil Wayne'em, którego puszczanie w domu było zabronione. Mama nazywała Lil Wayne'a „walniętym świrem”, co wydawało mu się całkiem zabawnym epitetem. Naciągnął kaptur bluzy na słuchawki i puściwszy się biegiem, odmierzał każdy wydech białym obłokiem pary. Było tak zimno, że nie zdziwiłby się, gdyby za chwilę zacząć sypać śnieg, choć jak dotąd nigdy nie widział śniegu w Seattle. Ludzie opowiadali, że w 2008 roku spadło go bardzo dużo, był jednak wtedy za mały, by to zapamiętać. Spojrzał w niebo, ale nie bardzo wiedział, czego na nim szukać. Chmury na granatowoczarnym niebie wyglądały w blasku księżyca w pełni jak kłębki waty z iskrzącymi się srebrzyście brzegami.

Biegł Rainier Avenue w rytmie dudniących mu w uszach słów *Tha Block Is Hot*. Będąc myślami na boisku, zrobił nagły zwód, by wyminąć wymaginanego obrońcę, i skręcił ostro w lewo w Henderson. To była jego specjalność: nagle zmiana kierunku biegu bez utraty szybkości. Podpatrzył to u Terrella, który przed przejściem na zawodowstwo co najmniej rok studiował na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. D'Andre nie planował przejścia na zawodowstwo po roku nauki w college'u. Najpierw skończy studia.

– Przestań pleść bzdury o zawodowstwie – mówiła mama.
– Rozwalisz sobie kolano i co wtedy zrobisz?

Przyśpieszył, dostosowując krok do rapu Lil Wayne'a. Przebiegnie na drugą stronę Renton Avenue, skręci w Chief Sealth Trail, przeskoczy przez płot i wpadnie do domu przez kuchenne drzwi z zapasem paru minut. Mama obrzuci go tym swoim spojrzeniem, żeby wiedział, że miała oko na zegar, po czym ogrzeje mu porcję spaghetti i usiądzie z nim przy stole, żeby pogadać. Lubił te chwile, gdy bracia byli już w łóżkach, a

on i mama przy stole.

– Kiedyś kupię ci wielki dom – obiecywał jej. – Tak wielki, że będziesz musiała jeździć po nim na hulajnodze.

– A po co mi taki dom? – pytała. – Mam dość kłopotu z utrzymaniem tego w czystości.

– Zatrudnię ci też służącą.

– Sam sobie kupisz wielki dom – odpowiadała z uśmiechem.

– I wtedy ty i babcia zamieszkacie u mnie.

– Twoja żona może nie być zachwycona.

– A która to? – pytał i zaczynał się śmiać.

Mama nalewała mu drugą szklankę mleka i cmokała go w czubek głowy.

– Jedz spaghetti i marsz do łóżka. Najbardziej rośnie się przed północą.

Raz jeszcze pomyślał o dryblingu i rzucie z wyskoku. Marvin cały wieczór się go czepiał, próbując go denerwować. Chciał wyprowadzić go z równowagi. Ale były to tylko durne zaczepki i wcale D'Andrego nie zezłościły. Zresztą mama raz go ostrzegła:

– Jeśli kiedyś stracisz panowanie nad sobą podczas gry, to zejdziesz z trybuny i wyprowadzę cię za ucho z boiska.

Dobiegł do skrzyżowania i przeciął Południową Czterdziestą Szóstą Aleję, zbliżając się już do domu. Taki piękny był ten drybling. D'Andre przebiegł wzdłuż boiska, kozłując nisko lewą ręką, potem nagle przyśpieszył, biorąc Marvina na prawe biodro. Dobiegł do trzypunktowej linii i opuścił ramię, jakby zamierzał ruszyć na kosz. Marvin kupił jego zwód, też przykucnął i wtedy D'Andre ostro zaparł się lewą nogą. Marvin nie zdołał już zahamować i potykając się, odskoczył od niego w tej samej chwili, w której D'Andre przerzucił piłkę z lewej ręki do prawej.

Skoczył z krawężnika Południowej Renton Avenue i pchnięta czubkami palców pomarańczowa piłka pofrunęła łukiem do wyimaginowanego kosza. W myślach ujrzał, jak piłka wpada w obręcz, i usłyszał cudowny świst, gdy przelatowała przez siatkę kosza.

Na krawędzi pola widzenia odnotował jakiś ruch. Odwrócił głowę, ale zbyt późno. Piłka wystrzeliła spod jego ręki i na moment jakby zamarła nad maską samochodu, po czym z dużą siłą walnęła w przednią szybę i odbiła się do przodu. Spadła na jezdnię, wysoko podskoczyła, potem jeszcze kilka razy coraz niżej, potoczyła się po asfalcie, wpadła do rynsztoka i lekko odbiła się od krawężnika.

I znieruchomiała.

Rozdział 2

Tracy Crosswhite wyczytała w jakimś czasopiśmie, że Smith Tower na historycznym Pioneer Square był kiedyś najwyższym budynkiem na zachód od Missisipi; teraz nie załapywał się nawet do pierwszej trzydziestki w samym tylko Seattle, a jego znaczenie dla miasta miało obecnie walor głównie zabytkowy. Miasto zmieniało się w oczach, niekoniecznie na lepsze.

W Seattle zapowiadał się rekordowy rok pod względem liczby zabójstw.

Wraz z piętnastką detektywów z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych Tracy zajmowała się średnio trzydziestoma zabójstwami rocznie, ale podobnie jak wysokość wieżowców w centrum miasta, także ta liczba stale rosła, stając się jedną z uciążliwości życia w metropolii należącej do najszybciej rozwijających się w Stanach Zjednoczonych. A to oczywiście oznaczało coraz więcej pracy, do której żadne z nich się nie garnęło.

Tracy zdjęła sztruksowy żakiet i powiesiła go obok skórzanej kurtki Kinsingtona Rowe'a na wieszaku na ścianie American Grill and Irish Pub Shawna O'Donnella. Jej partner Kins już się szykował, by usiąść, gdy nagle skrzywił się z bólu i

gwałtownie wyprostował.

- Znów to twoje biodro? – spytała Tracy.
- Czasami daje o sobie znać. Najgorsza jest zimna wilgoć.
- Kins poruszył lekko biodrem. Coś w nim cicho chrupnęło i ból ustąpił. Tracy aż się skuliła. Kontuzja odniesiona kiedyś na boisku futbolowym coraz bardziej dawała się Kinsowi we znaki.

- Kiedy masz tę operację?
- Nie przypominaj mi – mruknął, siadając naprzeciwko niej.

- Boisz się?
- Cholera, jasne, że się boję. Opowiadałem ci o kobiecie, która się przekręciła na serce w trakcie takiej samej operacji, nie?

- Mówiłeś, że miała osiemdziesiąt lat.
- Osiemdziesiąt trzy, ale co z tego? Podobno tak zmarł ten aktor, Bill Paxton. Na zawał serca po operacji.

- Był chory na serce. A ty co, czytasz nekrologi ludzi zmarłych na zawał?

Kins miał raptem czterdziestkę i od lat przesuwiał termin operacji, ratując się łykaniem ibuprofenu. Wymyślił sobie, że ma to być jedyna operacja w jego życiu, a na wszczepiony staw biodrowy dawano tylko trzydzieści lat gwarancji. Ale ostatnio bóle stawały się coraz częstsze i coraz ostrzejsze.

- Lekarz mi powiedział, że mam się do niego zgłosić, kiedy bóle staną się nie do zniesienia – mruknął.

- No i chyba tak właśnie jest.
- Termin mam za dwa tygodnie. I chciałbym to już mieć za sobą. Czuję się tak, jakby mi ktoś wbijał w staw rozgrzany do czerwoności nóż, i ból promieniuje aż do kolana. – Kins wziął do ręki menu, przez chwilę je studiował, po czym odłożył na stół. – Co obstawiłaś w loterii?

Detektywi i reszta personelu policji w Seattle zrzucali się po dwadzieścia dolców na udział w policyjnej loterii, w której obstawiano liczbę zabójstw w danym roku, i tegoroczny wynik stał się gorącym tematem rozmów na korytarzach komendy. Na ścianie działowej boks Tracy wisiała trupa czaszka jako makabryczne przypomnienie, że ona i Kins stoją w kolejce do któregoś z tych zabójstw, choć aktualnie mieli na tapecie dwa niedokończone śledztwa. Liczyła, że uda jej się dotrwać do końca tygodnia bez nowego zabójstwa, ale zważywszy na „ruch w interesie” podczas pierwszych miesięcy roku, szanse na to były znikome. Sekcja Ciężkich Przestępstw Kryminalnych wciąż jeszcze nie uporała się ze sprawą z ubiegłego tygodnia, kiedy to zazdrosny młodzian zabił na domówce trzech kolegów z liceum, strzelając z kupionego w internecie kałasznikowa AK-47. Te trzy ofiary śmiertelne podniosły liczbę zabójstw w Seattle w ciągu pierwszych dziesięciu tygodni tego roku do dwudziestu dwóch.

– Trzydzieści osiem – odparła Tracy, przeglądając menu.
– Myślałam, że przesadziłam, ale teraz wygląda na to, że nie doszacowałam.

Nagły wzrost liczby przestępstw, w tym także zabójstw, wielu kładło na karb szybkiego przyrostu liczby mieszkańców oraz rosnącej popularności twardych narkotyków w rodzaju metamfetaminy i heroiny, co w Seattle i większości amerykańskich miast osiągało rozmiary epidemii.

– Jeśli ty nie doszacowałaś, to ja jestem w ciemnej dupie.
– Kins rzucił na stół swój los, na którym widniała liczba trzydzieści sześć. – Coś mi się zdaje, że osiągniemy to już w czerwcu.

W pubie będącym ich regularnym miejscem oddechu podczas wieczornej zmiany było przyjemnie ciepło, ale mógł to być jedynie kontrast między temperaturą wewnątrz i na

zewnątrz budynku. W marcu zwykle mocno wiało i padały ulewne deszcze, lecz nie w tym roku. Tegoroczny marzec przyniósł temperatury rzędu minus pięciu stopni Celsjusza, w powietrzu wisiał śnieg i wystarczyło przejść z komendy na rogu Piątej i Cherry Street, żeby nieźle zmarznąć. A poza tym Tracy lubiła panującą w pubie atmosferę. Wiszący na ścianie i świecący na zielono zegar cyfrowy odliczał dni, godziny i minuty do Dnia Świętego Patryka. Aktualny odczyt pokazywał, że do święta brakuje już tylko niecałych dwóch tygodni, dokładnie trzynastu dni, dwóch godzin i trzydziestu sześciu minut, co tłumaczyło atakującą uszy i oczy mieszaninę muzyki irlandzkiego zespołu U2 i zjadliwie zielonego wystroju wnętrza, jeszcze zieleńszego niż zwykle. Nad głowami gości dyndały tabliczki z napisem: *Pocałuj mnie, jestem Irlandką*, czterolistne koniczyny na ścianach reklamowały guinnessa. Nad Kinsem wisiał oprawiony w drewnianą ramę napis:

*Jeśli kiedyś zaginę, umieśćcie moją fotkę na butelce piwa,
nie na kartonie mleka.*

*Dzięki temu moi kumple się dowiedzą,
że zaginąłem.*

Tracy zerknęła na komórkę, choć ta nie zadzwoniła. Wychodząc z komendy, zostawiła swój numer w dyspozytorni.

– A u ciebie wszystko w porządku? – spytał Kins. – Bo tak się zachowujesz, jakbyś to ty szła pod nóż.

Po latach partnerstwa znali się jak łyse konie i wyczuwali swoje nastroje. Wiedzieli, kiedy które pokłóciło się z mężem czy żoną, kiedy Kins miał problemy z dziećmi i kiedy mieli za sobą niezły seks.

– Wszystko gra – odparła.

Ale nie wszystko grało. Następnego dnia po południu

miała umówioną wizytę u specjalisty od płodności. Nigdy w życiu nie uprawiała tyle seksu i nie czuła takiej frustracji jak w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, które minęły od dnia ślubu. W wieku czterdziestu trzech lat Tracy dowiadywała się, że decyzja o urodzeniu dziecka i zającie w ciąży niekoniecznie idą w parze.

Zupełnie nie.

Kins ponownie wziął do ręki menu.

– Przed operacją powinienem trochę schudnąć – zauważył.
– To zmniejsza ryzyko zawału.

– Możesz przestać się zamartwiać tym zawałem? To zbieg okoliczności. Tamta kobieta miała dwa razy tyle lat co ty.

– Powinienem zjeść sałatkę. Za każdym razem to mówię, nie? – Rzeczywiście, mówił to za każdym razem. – A potem zamawiam hamburgera. Mam silną wolę jak ostatnia parowa.

Tracy zignorowała jego słowa. Kins używał słowa „parowa” na określenie wszystkiego, co mu się nie podobało. Dupowaty kierowca na drodze – parowa. Powolna kasjerka w sklepie spożywczym – parowa. Kłamiwy świadek – parowa. Wyjaśnił kiedyś Tracy, że ten jego nawyk wziął się stąd, że jako dziecko zagalopował się i w rozmowie z matką rzucił słowem na „k”. Najpierw zdrowo mu przywaliła, a potem powiedziała, żeby znalazł sobie własne przekleństwo. No i wtedy wymyślił tę parowę.

Raz jeszcze przebiegła wzrokiem menu. Wspomniany przez Kinsa hamburger brzmiał kusząco, ale zje sałatkę. Przy wzroście metr siedemdziesiąt cztery nie zaliczała się do wiotkich. Ćwiczenia na siłowni były dobre na serce, ale utrzymywanie wagi robiło się coraz trudniejsze. Wszystko, co trafiało do ust, odkładało się w biodrach i udach.

Kins rzucił menu na stół.

– Sałatka. Zamawiam sałatkę. – Zawibrowała jego

komórka. Rzucił okiem na wyświetlacz i odłożył telefon. – Faz i Del idą tu.

Vic Fazzio i Delmo Castigliano stanowili drugą połówkę zespołu A Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych. Litera „A” w ich nazwie była znakiem czysto porządkowym, ale nie przeszkodziło im to wmawiać pozostałym trzem zespołom sekcji, że wyraża jakość ich ekipy.

– Del wrócił już do pracy? – spytała Tracy.

– Zaczął dziś wieczorem. Wybrali się z Fazem na poszukiwania tego świadka w White Center. Faz prosił, żebym się upewnił, czy serwują dziś kanapkę z peklowaną wołowiną na żytnim chlebie. – Kins pokręcił głową. – Przecież to irlandzki pub. Ale na Faza nie ma siły.

– Powiedział, jak Del sobie radzi?

Zaczął się bawić torebeczką z porcją cukru; zaginał i rozprostowywał jej rogi.

– Pytałem go o to wczoraj. Powiedział, że nadal jest bardzo przybity. I trudno mu się dziwić.

Poprzedniej soboty Tracy i Kins wraz z Fazem uczestniczyli w pogrzebie siostrzenicy Dela. Miała zaledwie siedemnaście lat i przedawkowała heroinę. Jako piętnastolatka zaczęła od marihuany, potem przeszła na leki na receptę i w końcu została nałogową heroinistką. Del wysłał ją na detoks w Yakimie i gdy po kuracji wróciła do domu, oświadczyła, że wyszła na prostą. Po czym przedawkowała i umarła.

– Faz twierdzi, że przedawkowała aż cztery razy. Słyszałaś o tym?

– Wiem to od Dela – potwierdziła Tracy.

Kins potrząsnął głową. Był ojcem trzech nastolatków.

– Cztery razy? Gdyby któryś z moich chłopaków wdał się w to gównie, tobym tego nie przeżył.

Do stolika podszedł Liam, właściciel lokalu. Kiedy robiło

się tłoczno, sam obsługiwał stoliki i stawał za barem.

– Pewnie znów macie wieczorną zmianę, co?

– Tylko my i prostytutki, Liam – rzucił Kins. – Tyle że one zarabiają dużo więcej od nas i nie muszą wpisywać tego do PIT-u.

– I komu to mówisz! – prychnął Liam. – Władze miejskie mówią mi, że muszę płacić pracownikom piętnaście dolarów za godzinę. Jeden z pomocników kelnera przyszedł do mnie z prośbą, żebym mu skrócił godziny pracy, bo inaczej straci rządowy zasiłek. Czasami się zastanawiam, czy ci w radzie miejskiej w ogóle myślą. – Westchnął ciężko. – Chcecie coś do picia?

– Wypiłbym twoją specjalną zupkę, gdybym nie był na służbie – mruknął Kins. Na tablicy przy wejściu do pubu reklamowano zupę będącą specjalnością lokalu, czyli whisky z lodem bez wody.

– Rozumiem. – Liam popatrzył w okno. – Jest dziś pełnia, więc z zakamarków wypełzną świrusy. Normalnie w poniedziałkowe wieczory mamy tu puchy.

W Ciężkich Przestępstwach świrusy wypełzały co wieczór, jak na przykład kobieta dzwoniąca do nich z wiadomością, że wie, kto zabił wokalistę Kurta Cobaina, lub mężczyzna donoszący, że nieżyjąca żona chce go poćwiartować i roznieść po mieście walizki z kawałkami jego ciała. W czasach przedmałżeńskich Tracy lubiła pracować na wieczorną zmianę, która trwała od piętnastej do północy. Przynajmniej świrusy bywali zabawni, a siedzenie w samotności pozwalało nadgonić zaległości w papierkowej robocie. Ale od czasu ślubu z Danem woląла jak najwcześniej wracać do domu.

– Mrożoną herbatę – powiedział Kins.

– Dla mnie z cytryną – rzuciła Tracy.

– Domyślam się, że czekacie na waszych dwóch

makaroniarzy.

– Już są w drodze. Faz kazał mi spytać, czy jest dziś w karcie peklowana wołowina.

– Jaki szanujący się irlandzki pub nie miałby peklowanej wołowiny tak blisko Dnia Świętego Patryka? – Liam przeżegnał się, ucałował kciuk i odszedł od stolika.

Kins popatrzył ponad ramieniem Tracy w stronę drzwi wejściowych.

– Już są – mruknął.

Tracy odwróciła się. Wkraczający do restauracji Del i Faz byli jak dwa księżycy zaciemniające słońce. Mieli po co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważyli dobrze ponad sto kilogramów każdy. Obaj byli w garniturach, choć bez krawatów. Może Seattle się zmieniło, ale nie dotyczyło to Faza i Dela. Garnitur bez krawata to był ich codzienny ubiór.

Del zdjął prochowiec i powiesił go na haku. Patrząc na niego, Tracy pomyślała, że wygląda na steranego życiem. Worki pod oczami dowodziły niedospania, ruchy miał ociężałe. Od Faza wiedziała, że spędza noce na kozetce w mieszkaniu siostry, opiekując się jej dziewięcioletnimi bliźniakami.

Wsunął się na kanapę obok Kinsa, Faz usiadł koło Tracy i wlepił w Kinsa głodne spojrzenie labradora, który wpatruje się w ustrzeloną kaczkę.

– Pytałeś o peklowaną wołowinę? – rzucił.

Kins skrzywił się.

– Cholera, Faz, zapomniałem.

– Jak mogłeś zapomnieć? Przecież wysłałem ci esemesa. – Faz pokazał mu swój telefon.

– Coś mnie musiało rozproszyć. – Kins wzruszył ramionami.

Faz bez słowa obrócił się na siedzeniu i zaczął się rozglądać za Liamem.

- Jak sobie radzisz? – zwróciła się Tracy do Dela.
- Jakoś – odparł cicho.
- Gdzie, u diabła, jest ten Liam? – burknął Faz, kręcąc głową.

Del skinął na stojącego za barem właściciela, a ten od razu podszedł.

- Dla mnie kawa – rzucił Del. – Czarna.
- Macie dziś peklowaną wołowinę? – spytał Faz.
- Kins zjadł ostatnią porcję – odpowiedział Liam. – Ale mamy polską kiełbasę z kapustą kiszoną.

Faz zrobił zboląłą minę.

- Polską... Jaja sobie robisz? – Spojrzał na Kinsa. – Jaja sobie ze mnie robi?

Kins i Liam parsknęli śmiechem.

- A co, myślałeś, że jestem Włochem? – rzucił Liam. – Irlandzki pub bez peklowanej wołowiny krótko przed Dniem Świętego Patryka to by było przestępstwo.

- Chcesz mnie przyprawić o atak serca? – burknął Faz do Kinsa. – Nie rób mi takich numerów.

- Coś do picia? – spytał Liam.

- Kawa – odrzekł Faz. – Muszę się rozgrzać. Z zimna jestem sztywny jak moi Netsi w ostatnich dziesięciu meczach.
- Urodzony w New Jersey Faz nadal kibicował drużynom ze swego rodzinnego miasta.

Tracy zamówiła sałatkę cezar z łososem.

- Burger z irlandzką whisky i serem – powiedział Kins, oddał Liamowi menu i spojrzał na Tracy. – Mówiłem ci, że mam silną wolę jak parowa.

Liam patrzył wyczekująco na Dela.

- Dla mnie tylko kawa – powiedział Del, co zupełnie do niego nie pasowało, bo kochał jeść tak samo jak Faz.

Gdy właściciel odszedł, Tracy zwróciła się do Dela:

- Jak siostra?
- Nie najlepiej. Trochę to potrwa, nim dojdzie do siebie.
- Tak tylko, żebyś wiedziała – wtrącił Faz. – Zasadzamy się na tego diler.

- My, czyli kto? – spytała Tracy.
- My znaczy „my” – odparł Faz, dostrzegając zaniepokojenie we wzroku Tracy. – Del nie jest w to oficjalnie włączony.

Del w żadnym razie nie powinien zajmować się śledztwem dotyczącym śmierci siostrzenicy.

- Uzgodniłeś to z Nolaskiem? – spytała Tracy. Kapitan Johnny Nolasco był szefem Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych.

Faz obrzucił ją spojrzeniem mającym znaczyć, że pogadają o tym później.

- Dał zielone światło pod warunkiem, że ja to poprowadzę.

Była ciekawa, czy rezygnacja Nolasca z wyznaczenia zupełnie innej ekipy śledczej miała związek z niedawnym wzrostem liczby zabójstw. Bo rzeczywiście detektywi we wszystkich ekipach śledczych ledwo zipali z nawału pracy.

- Siostra ma jakieś namiary? – zwrócił się Kins do Dela.

- Na razie nie jest w stanie się tym zajmować – odparł Del. – Damy jej jeszcze parę dni. Domyślam się, że siostrzenica zamawiała prochy przez komórkę i że jej chłopak był w to zamieszany. Jeśli był... to wyjawí nam swojego diler.

Tracy znów spojrzała na Faza, a ten lekko kiwnął głową na znak, że sprawy są pod kontrolą.

- Po prostu potrzebuje trochę czasu – dodał.

- Wciąż mi się przypomina to powiedzenie – powiedział Del, patrząc na Tracy. – I wciąż myślę o tobie.

- O mnie?

- Znasz to powiedzenie: „Żaden rodzic nie powinien

nigdy chować swego dziecka”. Chyba nie do końca rozumiałem jego znaczenie. Tak mi żał twojej siostry. I tak mi żał twoich rodziców. Dopiero teraz rozumiem, jaki to był dla nich cios. Jak mógł się czuć twój ojciec.

Dwa lata po zniknięciu Sary ojciec Tracy nie wytrzymał, popadł w depresję, chyba zaczął zażywać leki psychotropowe i odebrał sobie życie.

Wzmianka o dziecku znów skierowała jej myśli ku nieudanym próbom zajścia w ciążę. Najbardziej na świecie pragnęła urodzić syna lub córkę, ale nie wyobrażała sobie rozpacz po utracie dziecka. Porwanie i zniknięcie siostry autentycznie nią wstrząsnęły, lecz nie dało się tego porównać z rozpaczą rodziców.

Zawibrowała leżąc na stole komórka i oboje z Kinsem machinalnie spojrzeli na swoje telefony. Świecił się wyświetlacz na komórcie Tracy.

- To z dyspozytorni – mruknęła, kręcąc głową.
- Ta cholerna liczba zabójstw ani na chwilę nie przestaje rosnać – jęknął Kins.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).